



MOC: **407 KM**

PRZYSPIESZENIE: **5,6 s do 100 km/h**



WSZYSTKO W JEGO MOCY

VOLVO XC90 T8



MADE BY SWEDEN

Odkryj moc i inteligencję VOLVO XC90 T8 – pierwszego na świecie 7-osobowego SUV-a z napędem hybrydowym.

Technologia Twin Engine to połączenie silnika benzynowego o mocy 320 KM oraz silnika elektrycznego o mocy 87 KM, które pozwoli Ci cieszyć się z doskonałych osiągnięć, niskiego zużycia paliwa i najniższej w swojej klasie emisji spalin.

Przekonaj się, że przyspieszenie do 100 km/h w 5,6 s oraz ekologiczna jazda w trybie elektrycznym mogą iść w parze.

Volvo XC90 już od 2154 zł netto/mc.

W zależności od wersji silnika zużycie paliwa w cyklu mieszanym wynosi od 2,1 do 8,0 l/100 km, emisja CO₂ od 49 do 186 g/km. Informacje o działaniach dotyczących odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na: www.volvocars.pl

[PRZY-PISY REDAKTORA NACZELNEGO]

Niewygodni święci



Jerzy Baczyński

W ledwie tygodniowym odstępie przypadają rocznice śmierci dwóch znaczących postaci naszej historii, a dla środowisk prawicowych osób najważniejszych: Jana Pawła II i Lecha Kaczyńskiego. Obie postaci są dziś otoczone kultem. Nie porównując kultu religijnego ze świeckim, a jedynie stopień zaangażowania władz państwowych (czy szerzej, rządzącej formacji), można by dojść do wniosku, że to postać Lecha jest dziś mocniej promowana. Proszę porównać nadzwyczaj skromne, rutynowe, niemal zdawkowe obchody rocznicy śmierci św. Jana Pawła z nadciągającą rocznicą smoleńską – już tym razem, i w następnych latach, w formie państwowego święta.

Fakt, że z Janem Pawłem jest pewien kłopot. Spora część przesłania „papieża Polaka” zdaje się kłępiąca dla dzisiejszej władzy kościelnej i świeckiej. Chodzi tu zwłaszcza o bardzo silne poparcie Jana Pawła II dla integracji Polski z Unią Europejską, o pozytywną ocenę Okrągłego Stołu, bardzo ciepły stosunek do polskiej demokracji i demokratów (łącznie z Wałęsą i Kwaśniewskim) czy faktyczną akceptację dla wypracowanego modelu stosunków państwo–Kościół (obejmującego również tzw. kompromis aborcyjny). Z trudem można sobie wyobrazić, aby bez papieskiej reprimendy pozostały słowa wypowiedziane podczas świątecznej homilii przez abp. Józefa Michalika, wieloletniego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Nazywanie antypisowskiej opozycji „targowicą”, „mobilizującą na forach międzynarodowych do nienawiści wobec Polaków”(!), to urągająca milionom, także katolikom, nachalna partyjna retoryka. Nie sądzę też, aby papieżowi spodobały się dzisiejsze drwiny prawicowych publicystów z „pogubionego, chaotycznego, ulegającego lewactwu” papieża Franciszka. Raczej niemożliwe, by „pierwszy ekumeniczny biskup Rzymu”, wzywający do ponadreligijnej solidarności, był zbudowany deklaracjami bardzo katolickiej pani premier, że nie przyjmujemy żadnych uchodźców.

Zmarły w ubiegłym tygodniu ks. Jan Kaczkowski, jedna z najpiękniejszych postaci polskiego Kościoła, mówił gorzko, że dziś świętej rodziny pewnie by nie wpuszczono do Europy. Ale to nie ks. Kaczkowski (z jego prowokacyjnym: nie trzeba być katolikiem, aby być dobrym), ale raczej Tadeusz Rydzyk czy abp Michalik są głosem naszej „narodowej, autokefalicznej cerkwi”, zamkniętej, nieufnej, dziś szukającej ścisłego sojuszu z autorytarną władzą. Może to tylko przypadek, ale znamienita zbieżność, że rocznicę śmierci Jana Pawła Kościół uczcił listem pasterskim wzywającym polityków do odrzucenia „aborcyjnego kompromisu”, jak zwykle się u nas nazywa jedną z najostrejszych w świecie ustaw ograniczających prawo do aborcji. Propozycje radykalnych środowisk katolickich, brutalne i aroganckie wobec kobiet, dostały już oficjalne wsparcie episkopatu i partii rządzącej. Pewnie za Jana Pawła II Kościół w Polsce był gorszego sortu, skoro, nie wyrzekając się swego nauczania, unikał domowej wojny światopoglądowej?

Paradoksalnie, dzisiejsza władza nie lepiej obchodzi się ze spuścizną Lecha Kaczyńskiego, który przez PiS został wyniesiony do rangi świeckiego świętego, równego królom (stąd Wawel), męczennika „poległego” w Smoleńsku. Ci, którzy dobrze znali Lecha Kaczyńskiego i blisko z nim współpracowali za czasów prezydentury, zostali niemal wszyscy odsunięci od dzisiejszego PiS, być może jako potencjalni kacerze. Jednak ich świadectwa zdają się potwierdzać, że Lech Kaczyński (oboje, jak oceniamy jego prezydenturę) był człowiekiem raczej skromnym, niepewnym siebie, kameralnym, a w poglądach pryncypialnym państwowcem. Nie przypadkiem jego wypowiedzi na temat bezwzględnej konieczności respektowania orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego są dziś obnoszone na marszach KOD. To Lech Kaczyński negocjował i podpisał traktat lizboński, ograniczający, w imię wspólnego bezpieczeństwa, suwerenność unijnych państw narodowych. To Maria Kaczyńska przyblokowała zakusy zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej, narażając się na chamskie ataki dyr. Rydzyka.

Oczywiście Lech Kaczyński był bratem swego brata, autoryzował jego awanturnicze wizje IV RP i Polski jako regionalnego mocarstwa, był lojalny do bólu, ale – tak mówią dawni przyjaciele – dziś raczej nie pozwoliłby na destrukcję Trybunału, jawne łamanie konstytucji, lekceważenie Komisji Weneckiej, bezproduktywne puszczenie stosunków z sojusznikami. Może tak, może nie – trudno powiedzieć. Ale chyba na pewno byłby zażenowany państwowym kultem i mitologią, jakie wokół niego, z całą pogardą dla faktów, buduje brat.

Cóż, nie sprawdzimy historii alternatywnej. Ale widać, że rewolucja nie tylko zjada własne dzieci, ale także patronów. Pozostaje smutna rocznicowa refleksja, że – nie popadając w depresyjne uogólnienia – bardzo dużo wokół nas zmian na gorsze. Część z nich jest zresztą nazywana dobrą zmianą.

Jan Koza





Jak implementować kompromis

Implementacja – to określenie zrobiło w ostatnich dniach wielką karierę i należy założyć, że w przyszłości zrobi jeszcze większą.

W sytuacji kiedy rozmowa o jakichś kompromisach staje się coraz bardziej jawna i nużąca, implementacja niesie ze sobą pewną świeżość, co w polityce bywa wartością samą w sobie. Warto zwrócić uwagę, jak bardzo samo pojawienie się możliwości jakiejś implementacji, bez precyzowania, o co chodzi, ożywiło atmosferę wokół spotkania u marszałka Sejmu zorganizowanego na polecenie samego Jarosława Kaczyńskiego. Początkowo mało się po tym zebrać spodziewano, może jakiegoś teatru, ale gdy okazało się, że sam prezes zaszczyci zgromadzenie, apetyty wzrosły. Kaczyński, wcześniej wszystkich zwymsławiając, uznał, że jednak dla dobra ojczyzny warto opozycyjne towarzystwo, jeśli nawet tylko bliskie targowicy, dowartościować. Zaś obecność prezesa jest zawsze atrakcyjna (rzecz podniesiono na najwyższy poziom – oznajmił wicemarszałek Terlecki), nawet jeśli z góry wiadomo, co powie. A co powie, zapowiedział.

Tak więc od początku było wiadomo, czego implementacja dotyczyć absolutnie nie będzie: publikacji orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego oraz zaprzysiężenia przez prezydenta trzech prawidłowo wybranych sędziów, czyli nie będzie implementacji zasadniczych postulatów Komisji Weneckiej. Podobno w przyszłości, w jakiejś nowej, nieznannej ustawie o TK, coś tam z postulatów Komisji Weneckiej implementowane będzie i mogą nastąpić korekty tego, co PiS w grudniu uchwalilo, a Trybunał zakwestionował. To są jednak zdarzenia przyszłe i niepewne. Tę niepewność najtrafniej oceniła pani Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z partii Razem, która dobre wieści prezesa, że oto zaczął się jakiś dialog z opozycją, sprowadziła do parteru, wyjaśniając, że spotkanie było bez sensu, a propozycja, by zamiast zajmować się Trybunałem, wspólnie świętować 3 Maja, kompletnie niepoważna. Nie pierwszy to raz okazuje się, że spędzanie zbyt wielu godzin w gmaczach przy ul. Wiejskiej, pośród niezliczonej liczby kamer i mikrofonów, z których każdy czeka na jakiegokolwiek zdanie, zdecydowanie szkodzi jasnemu oglądowi sytuacji. Razem żyje oddzielnie i ma pogląd szerszy. No, chyba że ma się doświadczenie Grzegorza Schetyny, który na takie numery się nie nabiera.

Tym razem najefektowniej polegli Ryszard Petru, który w implementacji nie wiadomo czego do nie wiadomo czego zobaczył jakieś światło w tunelu i wolę współpracy. Nie dostrzegł tego nawet Paweł Kukiz (muzyczny mój lepszy słuch?) i bez uników określili spotkanie jako lanie wody. Liderowi opozycji (z własnego nadania) mogą się oczywiście zdarzać solidne wpadki i być może Ryszard Petru zbytnio uwiertzył, że to on opozycyjnego poloneza już wodził. Miał więc dość brutalną okazję zauważyć, że na razie opozycję za nos wodzi jednak Jarosław Kaczyński. Nauka z tej lekcji? Nie warto od razu biec przed kamery, czasem lepiej pomyśleć, co się powie, zwłaszcza gdy żaden z opozycyjnych warunków nie jest spełniony i spełniony nie będzie. Jeśli się wcześniej napięto muskuły, to nie wypadła od razu rejtiera w kierunku światełek w tunelu, których nie widać. Niestety, z różnych rozważań o implementacji można nawet wnosić, że opozycja, a z pewnością jej spora część, za dobrą monetę przyjmie nie tylko wybór kolejnego sędziego przez PiS, ale także kolejny kadłubkowy projekt ustawy o TK naprawiającej naprawczą, nie mówiąc już o gotowości zmiany konstytucji. Przyjmie też z radością zaproszenia na kolejne spotkania, by rozmawiać o niczym. Bo musi się wykazać gotowością do dialogu. A kto, prócz prezesa, powiedział, że musi? Może najpierw niech PiS tę gotowość pokaże?

Szczególnie oszałamiająca jest tu propozycja SLD, aby każdy napisał na kartce, co akceptuje, jeśli idzie o TK, a czego zaakceptować nie może. Po dwóch tygodniach kartki zostaną zebrane, i co dalej? Nie bardzo wiadomo. Pewnie kolejne spotkanie, po którym Kaczyński ogłosi kolejną dobrą nowinę. W SLD wola spotkania się i dawania sygnału, że w Polsce trwa intensywny dialog rządu z opozycją, jest być może największa, ale partia ta nie dostrzegła, że był to sygnał jednorazowy, być może na okoliczności ewentualnego spotkania prezydenta Obamy z prezydentem Dudą. Niestety, nie udało się ustalić, czy do wymiany zdań doszło i czy dobra nowina dotarła do Obamy. W kolacji-nyam zamieszaniu mogła, niestety, nie dotrzeć.

Ponieważ z implementacją opinii Komisji Weneckiej nadal kruchło, a tajemniczy zespół marszałka Kuchcińskiego, w którym konstytucjonalistów coraz mniej, prochu raczej nie wymyśli, warto spojrzeć na inne rozliczne implementacje, które się dokonują, i to w realu, a nie w teoretycznej przyszłości. Otóż na potęgę implementują się do rozmaitych spraw prokuratury i to nawet tam, gdzie w ogóle nie byli proszeni albo sami uznali, że ich rola dawno się skończyła. Trzy razy prokuratura umarzała śledztwo w sprawie Tomasza Arabskiego i czterech osób z Kancelarii Premiera oraz ambasady w Moskwie w sprawie organizacji lotu do Smoleńska. Upór prokuratury, która winy Kancelarii Premiera dopatrzeć się nie mogła, a w kwestie bałaganu panującego w Kancelarii Prezydenta, wobec powagi śmierci organizatorów, głębiej wchodzić nie miała ochoty, sprawił, że stanęło wreszcie na prywatnym akcie oskarżenia grupki rodzin. Zmieniła się władza i błyskawicznie zmieniła się prokuratura. Przy sprawie Arabskiego już się zjawiała. Zjawiała się też i wniosła o umorzenie sprawy Mariusza Kamińskiego, choć wcześniej z całą mocą Kamińskiego oskarżała i dowody dostarczała tak mocne, że sąd wymierzył karę surową, choć dla wysokiego urzędnika państwowego nadużywającego prawo adekwatną, którą prezydent musiał dla partyjnej potrzeby darować (czytaj s. 8).

Nie zawodzi prokuratura w ściganiu prezesa TK sędziego Rzeplińskiego. Prokuraturę wątpi, czy wyznaczył właściwy skład do orzekania w Trybunale. Niebanalny pomysł, aby to prokuratorzy decydowali o składach orzekających, zapewne się przyjmie, będzie bezpieczniejszy niż późniejsze kłopoty z ułaskawianiem. Warto jednak zauważyć, że prokuratura swoją obecność implementuje wybiórczo. Nic na przykład nie słychać, aby badała sprawę nieopublikowania przez panią premier wyroku Trybunału Konstytucyjnego, choć zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa wpłynęło sporo. I przez panią premier, i szefową jej kancelarii. No, ale mogło się przecież zdarzyć, że pan prezydent skorzystał już z prawa łaski, tylko nas jeszcze o tym nie powiadomiono. Prokuratorskie implementacje można na razie uznać za drobne, ale będą i większe. Trzeba będzie implementować wadę fabryczną do tupolewa, którym latano do Smoleńska. Wprawdzie Jarosław Kaczyński twierdzi, że gdyby prezydent Kaczyński poleciał razem z premierem Tuskiem, nic by się nie stało, bo poleciliby casą, ale jako żywo prezesowi wszystko się pomylilo. To ten sam tupolew latał dwa razy do Smoleńska. Bez wady fabrycznej się więc nie obejdzie, chyba że wrócimy do wybuchów na skrzydłach i jakiejś ingerencji Tuska z Putinem. Tak czy inaczej problem implementacji zamachu do katastrofy będzie się nasilał. Najważniejsze, że wreszcie uwolniono od tego obowiązku fachowców. Niech wyobraźnia podkomisji mknie wysoko i w sposób niczym niekierowany.

Kup książkę

Wina ministra i prezydenta



Marek Ostrowski

Sąd Okręgowy w Warszawie umorzył sprawę karną szefa CBA Mariusza Kamińskiego i trzech innych funkcjonariuszy skazanych nieprawomocnie za nielegalne – zdaniem sądu pierwszej instancji – osaczenie Andrzeja Leppera i innych urzędników w tzw. aferze gruntowej sprzed lat. Czy Kamiński i funkcjonariusze istotnie łamali prawo? Tego się już nie dowiemy. Sąd Okręgowy w ogóle nie rozpoznawał tego zarzutu merytorycznie. To nie nasza sprawa – orzekł – bo prezydent oskarżonych ułaskawił. Wyrok ów – jak każdy – trzeba uznanować. Ale trzeba go skrytykować.

Sprawa budzi poważny niepokój. Wybitny konstytucjonalista Piotr Winczorek pisał w swoim podręczniku, że wykonując prawo łaski, Prezydent RP nie uczestniczy w wymiarze sprawiedliwości; ułaskawiając, okazuje skazanemu miłosierdzie. Osoba objęta ułaskawieniem nie została przez to uniewinniona; jest nadal, aż do zatarcia skazania, uważana za karaną. W przypadku Kamińskiego już nie, bo wyrok uchylono. Sąd uznał – zresztą słusznie – że nie miał prawa oceniać prawomocności tego prezydenckiego aktu łaski. Ale mógł prowadzić postępowanie, żeby stwierdzić, czy sąd pierwszej instancji prawidłowo ocenił sprawę. Czy szef potężnej agencji siłowej sam łamał prawo wobec obywateli? Sprawcom prawdopodobnego przestępstwa kara by już nie groziła, bo zostali ułaskawieni, jednak sąd ustaliłby i podtrzymał zasady i granice policyjnej prowokacji.

Surowiej niż sąd zawińął prezydent Duda. Kodeks postępowania karnego dokładnie określa, jak prezydent ma wykonywać prawo łaski: zasięgać opinii sądu, poznać akta sprawy itd. Prezydent zignorował kodeks, uwolnił – jak sam powiedział – wymiar sprawiedliwości od tej sprawy; sięgnął po władzę, która do niego nie należy. Pierwszy raz w historii przerwał proces karny i to przy poważnych zarzutach wobec oskarżonych. Prezydent może ułaskawić, kogo chce, ale nie ma uprawnień, by pozbawiać obywateli prawa do sądu. Takie prawo to też prawo społeczeństwa, które powinno wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno funkcjonariuszom aparatu przemocy.

Zadaniem procesu karnego jest nie tylko ukaranie sprawców, lecz poznanie prawdy. Hamując ten proces, prezydent ogłasza teraz i na przyszłość: mogę wyłączyć prawo do sądu i uniewinnić każdego funkcjonariusza aparatu przemocy. To bardzo groźne. Przyjmijmy, że mamy zagnego i uczciwego prezydenta, ale prawo tworzy się na czarne scenariusze. A jakie będą – nie wiemy. To dodatkowy argument za tym, że prezydent w tej sprawie też naruszył konstytucję.

W wieku 62 lat zmarł

Piotr Aleksandrowicz

utalentowany dziennikarz, wnikliwy publicysta ekonomiczny, w latach 1996–2001 redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”, przyjaciel wielu z nas.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy najgłębszego współczucia Zespół POLITYKI



Siedziba kancelarii Mossack Fonseca w Panamie, firma ma filie na całym świecie.

Wygnani z rajów

Komu posłużą, a komu zaszkodzą ujawnione właśnie informacje o interesach w rajach podatkowych?

Wykradzione (przez kogo?) z panamskiej kancelarii prawnej Mossack Fonseca 11,5 mln dokumentów stało się podstawą międzynarodowego śledztwa dziennikarskiego. Ponad setka redakcji ze świata, w Polsce „Gazeta Wyborcza”, od miesięcy śledziło przepływy finansowe maskujące majątki w rajach podatkowych, czyli w państwach lub terytoriach zależnych z niskimi lub zerowymi podatkami i z bardzo dyskretnymi bankowcami. W archiwum znaleziono ślady procedur znanego od dawna, ale dotąd obywateli nie mieli okazji i dowodów, by zajrzeć do kieszeni tych, którzy mają bardzo dużo i chcą się bogacić dalej, niekoniecznie uczciwymi metodami.

Z panamskich prawników, specjalizujących się w rozmnażaniu firm lub fundacji mających zazwyczaj tylko adres pocztowy (kancelaria założyła ich ponad 200 tys.), korzystano, by ukryć dochody przed fiskusem, wpływy z łapówek i nielegalnych transakcji przed policją albo obejść międzynarodowe sankcje. Nie dziwi więc, że Mossack Fonseca pomagała nie tylko zwykłym obywatelom, ale również członkom rodzin królewskich; osobom z największych kręgów dyktatorów i autorytarnych przywódców podejrzywanych o dorabianie miliardów na boku – Asada, Kadaffiego, Xi, Putina; przedsiębiorcom o politykom z Zachodu i Wschodu – byłym premierem Islandii i Gruzji, obecnym prezydentem Argentyny i Ukrainy albo sportowcom z pierwszych stron gazet, w tym samemu Messiemu.

Po ujawnieniu, że w dokumentach są ślady operacji prowadzonych na rzecz np. pół tysiąca Indusów czy co najmniej czterystu Szwedów, sporo rządów z miejsca zapowiedziało, że będzie tropić finansowe niecnoty swoich obywateli. Choć można się spodziewać, że władze skarbowe udzielą amnestii pod warunkiem wyznania win. A co w sytuacji, gdy to rządzący winni być ścigani za majątkowe przewiny? W demokracjach trudno zmywalne panamskie piętno utraci niektóre polityczne kariery. Za to w reżimach władza amnestii podda się sama i nie pozwoli społeczeństwu kłopotać się tak złożonym problemem.



Multimural w Kairze

Jeśli ktoś chce ujrzeć światło słońca, musi przetrzeć oczy – słowa koptyjskiego biskupa żyjącego w III w. pojawiły się w postaci gigantycznego muralu, rozłożonego na blisko 50 ścianach w zaniedbanej dzielnicy kairskich Koptów, którzy w Egipcie są obywatelami drugiej kategorii, a wielu z nich zajmuje się zbieraniem śmieci. Mural został tak zaprojektowany, że w pełni czytelny jest jedynie z odpowiedniej perspektywy i pod odpowiednim kątem – tu trzeba po prostu wspiąć się na miejscowe wzgórze Mokkattam. Pracę zaprojektował francusko-tunezyjski artysta El Seed, a stworzył ją przy udziale przyjaciół i z własnych funduszy. Aż trudno uwierzyć, że miejscowe władze przeoczyły tak wielki mural, malowany przez kilka tygodni, bo wcześniej dość sumiennie i skutecznie zwalczały lokalną scenę street artu. Praca El Seeda to niejedyny mural na świecie, który nie jest widoczny na pierwszy rzut oka. W zeszłym roku w ramach Nuart Festival w Norwegii duet Ella&Pitr stworzył mural liczący aż 21 tys. m kw. Ponieważ został namalowany na dachu wieżowca, można go podziwiać tylko z lotu ptaka.

Lewandowski od Trumpa

Krewki szef kampanii Donalda Trumpa nie boi się rękoczynów



Donald Trump od wielu tygodni nie schodzi z pierwszych stron gazet. Ostatnio jednak więcej uwagi przyciągnął szef jego kampanii Corey Lewandowski, którego oskarżono o poturbowanie dziennikarki. Lewandowski złapał za ramię i mocno odepchnął kobietę, która chciała dogonić miliardera i zadać mu dodatkowe pytanie. Siniaki na ramieniu, świadkowie zdarzenia i zeznania dziennikarki na policji mogłyby pograć Lewandowskiego. Jednak ten wszystkiego się wyparł. Murem stanął za nim też Donald Trump, twierdząc, że Lewandowski to „uczciwy i przyzwyczajony człowiek, który ma czworo

pięknych dzieci i żonę w New Hampshire”. Dopiero nagranie z kamery przemysłowej pokazało, że kobieta mówiła prawdę.

Lewandowskiemu grozi kara do roku pozbawienia wolności lub tysiąc dolarów grzywny. Ten 42-letni Amerykanin polskiego pochodzenia, politolog i były lobbysta przemysłu rybnego w Nowej Anglii, ma za sobą oskarżenie z lat 90., kiedy jako szef personelu pewnego republikańskiego kongresmena wszedł z pistoletem od jednego z budynków Kongresu. A teraz, kilka dni po historii z dziennikarką, w Arizonie Lewandowski znowu posunął się do rękoczynów, ciągnąc za kołnierz jednego z przeciwników Trumpa. Zwykle nie przebiera też w słowach, pokrzykując na dziennikarzy, którzy krytykują jego szefa. Ma nawet czarną listę, na której lądują ci, których uważa za nieprzychylnych. Jak widać, każdy ma takiego Lewandowskiego, na jakiego zasłużył.

Świat wg Trumpa – s. 54.

Tata odda hutę

Indyjski gigant hutniczy Tata Steel gotowy jest oddać swoją walijską hutę w Port Talbot właściwie po cenie złomu. Próbuje ją sprzedać od półtora roku, chciałby także pozbyć się innych stalowych przedsięwzięć w Wielkiej Brytanii, bo dziennie przynoszą ponad milion funtów strat. Kosztowały już 4 mld funtów, na przywrócenie ich do formy potrzeba kilka miliardów więcej. Ale zatrudniają 15 tys. osób, a 25 tys. miejsc pracy związane jest z działalnością okołohutniczych podwykonawców, więc jakiegokolwiek zmiany, zwłaszcza duże zwolnienia, stają się poważnym problemem politycznym.

W kampanii przed czerwcowym referendum o ewentualnym wyjściu z Unii Europejskiej problemem większym niż zazwyczaj, gdyż to Komisja Europejska musi zatwierdzić ewentualne wsparcie publiczne. Gdy zebrani w Bombaju akcjonariusze Taty Steel podjęli decyzję o końcu swojej stalowej przygody na Wyspach, wakacje na Wyspach Kanaryjskich zakończył premier David Cameron, a jego minister biznesu, innowacyjności i kompetencji skrócił wizytę w Australii. Prężny brytyjski przemysł stalowy stał w forpoczcie rewolucji przemysłowej i był źródłem potęgi imperium. Dziś pogrążają go przede wszystkim niskie ceny stali, wywołane ogromną nadprodukcją w Chinach, ostrym wyhamowaniem chińskiej gospodarki i globalnym spadkiem zamówień. Dlatego huty są tak mało chodliwym towarem.

Groźne nieklucie

W niektórych krajach Zachodu wykonuje się dziś mniej szczepień niż w biednych krajach Afryki. Coraz częściej zdarzają się więc zachorowania np. na ospę, polio czy odrę, której w Europie wciąż nie udało się wyeliminować. W Ameryce uznanej za wolną od odrę w 2000 r., 14 lat później zarejestrowano setki zachorowań, a rok temu wykryto nawet pierwszy od dawna przypadek śmierci. Oczywiście winą za sytuację obarcza się radykalnych przeciwników szczepień. Jednak to nie oni ponoszą tu największą odpowiedzialność. Większym problemem jest rosnąca liczba rodziców, którzy opóźniają szczepienia lub szczepiają dzieci wybiórczo. Badania w Ameryce, Australii i Europie sugerują, że do tej grupy zalicza się dziś już ponad 25 proc. rodziców! W tej sytuacji Francja czy Bułgaria nastawiają się na informowanie i przekonywanie do szczepień. Inne kraje, jak Niemcy czy Australia, nie przyjmują do publicznych przedszkoli i szkół niezaszczepionych dzieci albo zabierają świadczenia na dzieci tym rodzicom, którzy lekceważą kalendarz szczepień. Jak na razie ani próby, ani groźby nie dają widocznych rezultatów.

Kup książkę

Smoleńsk: kłamstwo i mit

Wiara w zamach w Smoleńsku, która początkowo wydawała się szaleństwem garstki radykałów, staje się, przez dojście PiS do władzy, religią państwową.



GRZEGORZ RZECZKOWSKI

Wydawało się, że musi być inaczej. Że rozmiary tragedii i jej wyjątkowość rozmyją podziały, że strata bez precedensu połączy wszystkich – bez względu na polityczne sympatie i życiorysy. W sposób jeśli nie trwały, to przynajmniej na krótko. Groby miały pojednać – nie tylko samych Polaków, ale także Polaków i Rosjan. Z ust czołowych polityków i publicystów tuż po katastrofie smoleńskiej padały nawet słowa o żalobie, która będzie pożegnaniem z 200 latami „niezbyt szczęśliwej historii Polski”.

Poszło inaczej. Czyli jak zawsze. Zamiast katharsis i pojednania mamy podziały tak głębokie, jak nigdy w ostatnich 25 latach. Opadły wszystkie skrupuły.

Okazało się, że można nazywać katastrofę komunikacyjną „zamachem”, znaleźć „dowody” na wybuchy na pokładzie, widzieć wśród „sprawców” polskiego premiera, wśród „pomocników” – prezydenta, a rząd nazywać „sowieckim”. Ci, którzy z taką wizją się nie zgadzają, przynależą do „przemysłu pogardy” z mianem „ruskich pacholków”. „Polegli” zostali przez nich „zdradzeni o świat”. Irracjonalne? Ale skuteczne.

Sondaże pokazują dobitnie, że orędownicy teorii zamachowej tak mocno namieszali ludziom w głowach, że mimo pracy komisji Jerzego Millera, zespołu Macieja Łaska i prokuratury ponad 50 proc. Polaków nadal uważa, że przyczyną katastrofy nie zostały wyjaśnione (sondaż CBOS z kwietnia 2015 r.). I choć zdecydowana większość (74 proc. w sondażu Millward Brown dla „Faktów” TVN) nie wierzy tzw. parlamentarnemu zespołowi Antoniego Macierewicza, który „ustalił”, że na pokładzie tupolewa doszło nawet nie do jednego, ale do „serii” wybuchów, to większości (53 proc.) nie przekonały również ustalenia państwowych śledczych wykluczające zamach. Od kilku lat odsetek tych, którzy wskazują na tę przyczynę tragedii z 10 kwietnia, jest mniej więcej podobny – to około jednej czwartej dorosłych Polaków; kolejne kilkanaście procent woli odpowiedź „nie wiem”.

Po raz pierwszy rocznicę katastrofy smoleńskiej będziemy obchodzić pod rządami partii, która odrzuciła ustalenia państwowej komisji, złożonej z wybitnych i kompletnie niepartyjnych ekspertów i, forsując całkowicie kłamliwy obraz tragedii nakreślony przez amatorów, zbudowała mit o zamachu w Smoleńsku. Jak to było możliwe?



Fragment wraku Tu-154M; zdjęcie powstało, zanim szczątki samolotu trafiły do hangaru na smoleńskim lotnisku.

© EAST NEWS

Święci męczennicy

Wrażenie, że dokonuje się wielkie narodowe oczyszczenie i pojednanie, żywe było tylko w pierwszych dniach po katastrofie. Zgrzytnęło już 13 kwietnia, gdy okazało się, że Maria i Lech Kaczyńscy zostają pochowani na Wawelu. Zaskoczeni, moralnie zaszantażowani przeciwnicy polityczni braci Kaczyńskich przywoływali rozmaite argumenty nie wprost, zwłaszcza ten, że prezydencka para nie była związana z Krakowem, bardziej z Warszawą, więc lepszym miejscem byłaby warszawska katedra, gdzie spoczywają prezydenci i premierzy II RP.

Pomysł, który powstał w gronie polityków PiS, zrealizował metropolita krakowski kard. Stanisław Dziwisz. W ten sposób wypełnił bardzo ważną rolę w budowaniu nowej wiary – stworzył jej pierwszego i najważniejszego męczennika: prezydenta Kaczyńskiego. Kardynał argumentował, że prezydent „zginął po bohatersku”, więc powinien spocząć obok marszałka Piłsudskiego, „razem z tymi, którzy się zasłużyli dla dobra naszej ojczyzny”. Gdy kilkadziesiąt osób, skrzykniętych na Facebooku, protestowało pod krakowską kurią przeciwko pogrzebowi na Wawelu, związany z prawicą satyryk Jan Pietrzak ogłosił, że widocznie „nie wszyscy czują się Polakami”, tak „jak żałośni obrońcy polskich królów przed pol-

skim prezydentem”. Wzywając metropolitę do wycofania decyzji o wawelskiej lokalizacji pochówku, Andrzej Wajda i Krystyna Zachwatowicz trafnie przewidzieli to, co niebawem miało się wydarzyć: „decyzja ta (...) może spowodować najgłębsze od odzyskania niepodległości w 1989 r. podziały polskiego społeczeństwa”.

Polskie demony obudziły się szybko, karmiąc się mieszaniną podejrliwości, resentymentu, nieufności wobec własnego państwa i wciąż żywej wrogości do Rosji. A symboliczne skojarzenia same się nasuwały: katastrofa smoleńska wydarzyła się tam, na nieludzkiej ziemi rosyjskiej, w dodatku właściwie w tym samym lesie, gdzie 70 lat wcześniej NKWD rozstrzelało tysiące polskich oficerów. Wciąż w pierwszych dniach po katastrofie w wielu głowach zaczęła kiełkować myśl, że to przecież niemożliwe, żeby prezydent prawie 40-milionowego państwa oraz 95 towarzyszących mu osób, w tym najważniejsi politycy i dowódcy armii, zginęli od tak, w wypadku komunikacyjnym, którego przyczyną była brawura i złe wyszkolenie pilotów oraz kontrolerów.

Teorie spiskowe zaczęły się pojawiać już w pierwszych godzinach po katastrofie. Obok tak kompletnie irracjonalnych, jak ta, że pasażerowie zostali otruci na pokładzie, a za sterami usiadł pilot kamikadze (dowód – w relacjach z miejsca katastrofy nie było widać ciała), najczęściej wspomniano o planowanym zamachu. Już wtedy sformułowano hipotezę sztucznego mgły, rozpylanej przy użyciu helu przez rosyjski samolot, spekulowano o zablokowanych sterach, rosyjskim sabotażu, do którego miałyby dojść kilka miesięcy wcześniej podczas remontu tupolewa w Rosji, dobijanych strzałami rannych (jeszcze niedawno mówił o tym Antoni Macierewicz), którzy przeżyli zderzenie z ziemią. Aby zatrzeć ślady, Rosjanie mieli nawet zamienić czarne skrzynki i rozegrać na piarowo. Wiadomo – udając żal i celebrując żałobę, chcieli oddalić od siebie podejrzenia...

Spontanicznie, pod wpływem zrozumiałych emocji wygłaszane głupestwa wkrótce zaczęły się zlewać w jedną polityczną narrację, zarządzaną przez Prawo i Sprawiedliwość. Podczas prezydenckiej kampanii Jarosław Kaczyński jeszcze unikał bardzo jednoznacznych oskarżeń, ale tuż po przegranych wyborach tama pękła. Katastrofa zaczęła być przetwarzana na ideologię. Wiodąca rola przypadła tu człowiekowi do zadań specjalnych Antoniemu Macierewiczowi i jego zespołowi parlamentarnemu powołanemu w lipcu 2010 r. To ten zespół krok po kroku „ustalił”, że katastrofę spowodowała „seria wybuchów” na pokładzie leżącego w Smoleńsku Tu-154M. Zapraszani przez obecnego szefa MON na tzw. konferencje smoleńskie naukowcy wszystkich specjalności, tylko nie od badania katastrof lotniczych, prezentowali różne „dowody” na zamach – m.in. pamiętne eksplodujące parówki czy zginięte puszki po piwie.

Kreowaniu wiary w spisek i deprecjonowaniu ludzi związanych z ówczesną władzą towarzyszyło kreowanie mitu Lecha Kaczyńskiego i jego jedynego prawowitego dziedzica – Jarosława. PiS wykreował Lecha Kaczyńskiego na politycznego giganta, męża stanu, który poległ w służbie ojczyzny, wysłany na śmierć do Rosji przez własny rząd. Im bardziej rósł mit i legenda prezydenta, tym bardziej nie mógł on zginąć w zwykłej katastrofie. Dlatego rosła też wizja zamachu.

Prorocy gazetopolscy

Wiara, jeśli ma być żywa, musi mieć swych wyznawców i proroków – głosicieli. Wirus zamachowy zaczął się namnażać i rozprzestrzeniać dzięki publiczności Janowi Pospieszalskiemu i reżyserce Ewie Stankiewicz, którzy jeszcze przed pogrzebem prezydenckiej pary zjawili się wśród zgromadzonych przed Pałacem Prezydenckim. Przeglądając prasowe relacje z tamtego czasu, można natknąć się na taki fragment korespondencji „Frankfurter Allgemeine Zeitung” dotyczący metod stosowanych przez Pospieszalskiego: „Nie stawał pytań, ale czynił aluzje i niedopowiedzenia. Natychmiast został zrozumiany i znalazł wielu, którzy dopowiadali do końca jego aluzje. (...) To, że możliwość zamachu nie była poważnie brana pod uwagę ►

[TEMAT TYGODNIA]

► ze strony polityków i większości mediów, uznawano za do- wód, iż próbuje się coś ukryć”.

Krakowski Przedmieście z miejsca narodowej żałoby i zadumy przekształciło się w miejsce spotkań zwolenników najbardziej kosmicznych teorii spiskowych oraz przeciwników PO i Bronisława Komorowskiego, który jako marszałek Sejmu przejął wykonywanie obowiązków głowy państwa, a po lipcowych wyborach został prezydentem. Obóz pisowski uznał Komorowskiego za uzurpatora.

Symboliem pogłębiającego się pęknięcia był konflikt o krzyż ustawiony przez harcerzy przed Pałacem Prezydenckim. Wsparta przez PiS pięciomiesieczna „obrona” krzyża stała się kolejnym z mitów założycielskich nowej wiary i tematem następnej produkcji tandemu Stankiewicz-Pospieszalski: dokumentu „Krzyż”. Wyświetlony m.in. przez TVP pokazywał, jak rząd i jego zwolennicy, dążąc do przeniesienia krzyża, w rzeczywistości sondują, „jak daleko można się posunąć w niszczeniu podstaw naszej cywilizacji”.

Do medialnej ofensywy szybko dołączyli dziennikarze propisowskich mediów, w czym długo przodowała „Gazeta Polska”. Dziennikarze gazetopolscy już miesiąc po katastrofie orzekli, że „był zamach”, a samolot raz miała zniszczyć bomba paliwo-wo-próżniowa, innym razem zakłócenia systemu GPS. We wrześniu 2011 r. „Gazeta Polska Codziennie”, która należy do jednej ze spółek związanych z PiS, opublikowała „10 dowodów na zamach w Smoleńsku”, ilustrując artykuł okładkowym zdjęciem eksplodującego tupolewa. Na finiszu kampanii parlamentarnej ogłosiła już bez cienia wątpliwości: „Prezydent został zamordowany”.

W lepieniu zamachowego mitu „Gazeta Polska” osiągnęła swoje mistrzostwo. Na każdy argument ze strony ekspertów komisji Millera natychmiast znajdowano kilka, które miały je podważyć. Ale kulminacją ofensywy tzw. dziennikarzy niepokornych był artykuł Cezarego Gmyza w „Rzeczpospolitej”, który jesienią 2012 r. ogłosił, że na wraku tupolewa znaleziono ślady trotylu i nitrogliceryny. Mimo stanowczego i wielokrotnego dementi prokuratury, tłumacząc, że to ślady wysokoenergetycznych cząsteczek, które nie muszą być śladami materiałów wybuchowych, i że podobne znaleziono na drugim tupolewie stojącym na lotnisku w Mińsku Mazowieckim, Gmyz nie tylko nigdy tego nie sprostował, lecz teorię twórczo rozwijał w tygodniku „Do Rzeczy”, dodając do listy materiałów wybuchowych rzekomo wykrytych na pozycjach Tu-154M heksogen i okto-gen.

Głosząc najbardziej nawet absurdalne teorie o przyczynach katastrofy, ich rzecznicy wykorzystali nie tylko to, że badanie takich katastrof jest niezwykle skomplikowane i długotrwałe, a przez to trudne do wytłumaczenia laikom. PiS i smoleńscy wyznawcy długo tkali mit o zamachu w Smoleńsku bez jakiegokolwiek reakcji ze strony rządu, który po ogłoszeniu raportu Millera w lipcu 2011 r. uznał swoją rolę za skończoną i przekazał niejako palaczkę prokuraturze. Za z kolei tylko pogłębiała spekulacje, skąpo informując o postępach w śledztwie, a gdy już zabierała głos, potrafiła – jak w kwietniu 2014 r. – ogłosić, że tezy o zamachu nie można wykluczyć, choć wybuchu na pewno nie było. Gdy więc jesienią 2013 r. premier Tusk wreszcie powołał tzw. zespół Łaski, który miał walczą z teoriami spiskowymi, ton tzw. smoleńskiej narracji był już dawno ustalony.

Tak ogromnego potencjału emocji nie można było nie zagospodarować politycznie. Nie po raz pierwszy Jarosław Kaczyński postanowił wskoczyć na fale, która miała go ponieść ku władzy. Tym razem nie tylko politycznie, ale także duchowej, w roli obrońcy polskiej tradycji, a nawet – w kontekście sporu o krzyż – wiary katolickiej.

Tuż po przegranych wyborach prezydenckich Jarosław Kaczyński narzekał jeszcze na „Gazetę Polską”, że zbyt agresywną publi-

cystyką smoleńską zniweczyła jego szanse na zastąpienie brata w Pałacu Prezydenckim. Ale już we wrześniu stwierdził, że „politycznie i moralnie” za katastrofę odpowiadają „Tusk i Komorowski”. Hamulce puściły po publikacji Gmyza. Prezes potwierdził, że „nastąpił wybuch”, i jasno zakomunikował, że „zamordowanie 96 osób to niesłychana zbrodnia, każdy, kto miał cokolwiek z tym wspólnego, powinien ponieść tego konsekwencje”. W ten sposób nie pozostawił już żadnych wątpliwości, jaki jest kanon smoleńskiej wiary, spajający najbardziej zaangażowany elektorat PiS. To ta grupa pozwoliła partii przetrwać kolejne porażki wyborcze, była też fundamentem wyborczego zwycięstwa 2015 r.

Fakty będą się zacierać

Teraz wiara smoleńska umacniana będzie już nie tylko podczas miesięcznic, które od niedawna odbywają się z wojskową asystą, nie tylko podczas odsłaniania przez Kaczyńskiego kolejnych tablic ku czci „poległych” na kolejnych katedrach i kościołach. Wzmocnia ją podkomisja powołana przez ministra Macierewicza i funkcjonująca w ramach resortu obrony. Powołana zresztą w jego stylu – czyli metodą faktów dokonanych, mimo wątpliwości prawnych, czy w ogóle będzie legalna. W jej składzie znaleźli się tzw. eksperci zespołu Macierewicza, ale zabrakło specjalistów od badania katastrof samolotowych. Formalnie nowe badanie nie może unieważnić wyników poprzedniego, ale faktycznie, a zwłaszcza politycznie i medialnie, tak właśnie będzie.

Badanie tego typu katastrof traktowane jest przez prawo międzynarodowe jako wewnętrzna sprawa krajów, których dotyczy

– w tym przypadku Polski i Rosji. Ustalenia komisji badających przyczyny wypadków nie są zatwierdzane ani nawet formalnie odnotowywane przez żadną instytucję międzynarodową. Nie ma też żadnej procedury odwoławczej.

Domniemania nowej podkomisji, nagłaśniane przez pisowski PR, ostatecznie przysłonią to, co ustalił zespół Millera.

Dlatego domniemania podkomisji, nagłaśniane przez cały pisowski aparat PR, ostatecznie przysłonią to, co ustalił zespół Millera. Tym bardziej że cały jego dorobek został usunięty z oficjalnych stron rządowych. Dawnych członków państwowych komisji badania wypadków lotniczych martwi także groźba anulowania zaleceń z raportu końcowego. Wszystkie, czyli 42, dotyczyły poprawy bezpieczeństwa lotów w lotnictwie wojskowym. – *Tak jak zrelatywizowano konstytucję i wyroki TK, tak samo można zrelatywizować to, co napisała nasza komisja* – mówi Maciej Lasek, szef Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych i jeden z członków zespołu Millera. – *Ale jeśli podkomisja wyda jakieś zalecenia profilaktyczne, które będą wdrażane w wojsku, mogą one przynieść szkodliwy efekt dla bezpieczeństwa lotów. Bo jakie mogą być te zalecenia, skoro przyczyną katastrofy nie były błędy w szkoleniu pilotów, zaniedbania w nadzorze nad specpulkiem i zła organizacja lotów VIP, tylko zamach?*

Na razie Antoni Macierewicz złagodził swoje stanowisko, przemilczając teorię wybuchową na rzecz tez o awarii silników. Wszystko, co robią – on, jego komisja i nowy zespół prokuratorów powołanych przez Zbigniewa Ziobrę do wskazania winnych – będzie służyło „wygumkowaniu” dotychczasowych ustaleń. Zapewne trudno będzie oficjalnie obronić absurdalną tezę o zamachu, ale podkomisja będzie wytwarzać „sztuczną mgłę”, która spowie smoleńską katastrofę. Będzie się mówiło, że poszlaki są oczywiste, ale dowody zostały zniszczone; że przecież wiadomo, kto stoi za tą zbrodnią, ale „ze względów międzynarodowych” nie możemy powiedzieć, że Rosja i przewodniczący Rady Europejskiej – Tusk. Itd., itp. Mamy to już nieźle przeciwione. A gdy fakty i interpretacje będą się mieszać i zacierać, coraz trudniej będzie ostatecznie obalić hodowane od lat smoleńskie kłamstwo o zamachu. Zapewne zostanie z nami na zawsze.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

pierre cardin
le jardin

COLLECTION APPARTEMENT FRANÇAIS
PRINTEMPS | ÉTÉ 2016

Kolekcja dostępna w salonach Pierre Cardin:

Białystok CH Alfa, Bielsko-Biala CH Sfera, CH Gemini Park, Bydgoszcz CH Focus, Czeladź CH M1, Częstochowa CH Jurańska, Gdańsk CH Bałtycka, Gdynia CH Klif, CH Riviera, Gliwice CH Forum, Gorzów Wlkp. CH Askana, Jelenia Góra CH Nowy Rynek, Kalisz CH Amber, Katowice CH Galeria Katowicka, CH Silesia CC, CH Kazimierz, CH Galeria Krakowska, CH Plaza, Łódź CH Galeria Łódzka, CH Manufaktura, CH M1, Lublin CH Felicity, Nowy Sącz CH Trzy Korony, Olsztyn CH Galeria Warmińska, Poznań CH City Center, CH Auchan (Komorniki), Płock CH Wisła Radom CH Galeria Słoneczna Rybnik CH Plaza, Rzeszów CH Galeria Rzeszów, Szczecin CH Kaskada, CH Galaxi, Tarnów CH Tarnovia, Toruń CH Copernicus, Warszawa CH Arkadia, CH Galeria Mokotów, Wrocław CH Magnolia, CH Pasaż Grunwaldzki, ul. Wita Stwosza 42/43, Zabrze CH M1, Zielona Góra CH Focus

Kup książkę

[TEMAT TYGODNIA]

Wiemy niemal wszystko

Prof. **Paweł Artymowicz**, fizyk, o wątpliwościach wokół katastrofy smoleńskiej, których nie ma

JOANNA PODGÓRSKA: – Polacy może nie wierzą masowo w zamach, choć i takich nie brakuje, ale spora część deklaruje, że w końcu nie wie, co tak naprawdę stało się pod Smoleńskiem. To efekt „naukowych” rewelacji zespołu Macierewicza?

PAWEŁ ARTYMOWICZ: – Na wszystkie teorie i wątpliwości zgłaszane przez zespół sejmowy Macierewicza, który teraz przekształcił się w podkomisję przy MON, są fachowe, naukowe odpowiedzi, tylko że oni je ignorują i starają się udowodnić, że prawda jest nieznaną. Przebieg katastrofy smoleńskiej jest moim zdaniem najlepiej zbadany, w dziejach lotnictwa, od strony technicznej. Sukces Macierewicza polega na tym, że udało mu się przekonać część opinii, że jest odwrotnie. Tworzy teorie, które kojarzą mi się z lisenkizmem; pseudonauką. Za sprawą Łysenki Związek Radziecki sam się pozbawił prawdziwej genetyki. Tylko że początkowo była to autopromocja samego Łysenki. Dopiero znacznie później została zaakceptowana przez partię, która przyjęła jego linię jako jedynie słuszną. Z teorią zamachu smoleńskiego jest na odwrót. Inicjatywa wyszła od „komitetu centralnego” partii PiS i za sprawą partii rozdziły się i były nagłaśniane pseudonaukowe teorie alternatywne.

Spróbujmy je pokrótce prześledzić. Według zespołu Macierewicza zaczęło się od nieprawdziwych informacji podawanych pilotom przez kontrolerów, którzy dostawali rozkazy z Moskwy, tupolew mimo to odchodził już na drugi krąg, przeleciał nad brzoza, a potem nastąpiła seria eksplozji i samolot rozpadł się w powietrzu.

Kontrolerzy mogli najwyżej przyczynić się, stworzyć okoliczności sprzyjające katastrofie, ale nie ją spowodować. Nie mogli rozkazywać załozce samolotu kraju NATO. Byłoby to też sprzeczne z cywilnymi przepisami UE. Nie mogli też ani nie powinni zamknąć lotniska. Kiedy załoga na własne życzenie zaczęła nieprzepisowe podejście do lądowania, powinni byli podać te informacje meteorologiczne, które podali. Spełnili też swe zasadnicze zadanie doprowadzenia samolotu do tzw. minimalnej wysokości zniżania (100 m) w odległości ok. 2,5 km od progu pasa. Dalej miał nastąpić meldunek załogi o zobaczeniu światła lądowiska lub odej-



ściu. Pilot, nie widząc pasa, zniżył się jednak w dolinie prawie do jego poziomu, zanim podjął nieudaną, spóźnioną próbę awaryjnego odejścia na drugi krąg. Kontrolerowi słusznie zarzuca się spóźnione wydanie ostrzeżenia „Gorizont 101” o niebezpiecznym położeniu samolotu. Był wtedy ok. 70 m nad ziemią zamiast 100 m. Jednak gdyby wówczas piloci wykonali to polecenie, uniknęliby katastrofy. Znaczenia tej awaryjnej rosyjskiej komendy żaden pilot 36. specpułku wówczas nie znał, bo szkolenie jej nie obejmowało, a większość nie znała rosyjskiego. Na niedozwolone polskimi przepisami lotnisko wysłano załogę niewyszkoloną, bez faktycznych uprawnień do jednego legalnego wtedy podejścia na dwie radiolatarnie NDB.

Następny argument to „pancerna brzoza”. Skrzydło potężnego samolotu nie mogło się rozpaść po uderzeniu w drzewo.

Ta teza opiera się na błędnych obliczeniach prof. Wiesława Biniendy, co zostało rozstrzygnięte w 2014 r. na największej konferencji skupiającej polskich inżynierów i specjalistów lotniczych „Mechanika w Lotnictwie” w Kazimierzu Dolnym. Przypomniałem tam wyniki prac dr. Morki i naukowców z Wojskowej Akademii Technicznej, którzy znacznie poprawniej niż prof. Binienda rozumieją działanie programu do symulacji zderzeń. Potrafią dobrać właściwe modele materiałowe i grubości blach tupolewa. Profesor przyjął błachy trzykrotnie grubsze niż w rzeczywistości Tu-154. To oraz błędy w sposobie obliczeń dało karykaturalnie fałszywe wyniki przypominające filmy animowane Disneya.

Grupa Morki uzyskała diametralnie różny wynik: skrzydło w zderzeniu z drzewem jest rwane i odłamuje się na pniu. Grupa ta badała zderzenie z przeszkodą nie-deformowalną. Ja urealnilem to założenie, badając, jak wyglądało zderzenie z realistyczną brzoza, która ugina się i pęka 6,5 m nad ziemią, tak jak to się stało naprawdę. Dodatkowo niewiele osób zauważyło, że brzoza pęknięta jest także u podstawy. Pień pękł i pochylił się, ale nie przewrócił. Konieczność tego stanu rzeczy wynika z moich symulacji. Najpierw poddało się skrzydło i rozdarło na dwie części na masywnym pniu, a potem pod wpływem siły



© JACEK TURCZYK/PAP

„Katastrofa lotnicza to chaos. Jedne kawałki wraku nie zostawiają widocznego zagłębienia, a inne potrafią wbić się na metr głębokości. Krateru jednak nie ma. Specjalistom Macierewicza polecam podręcznik fizyki” – mówi prof. Artymowicz.

Eksperci Macierewicza przekonują też, że po uderzeniu ciężkiego samolotu w miękką glebę powinien powstać krater, a go nie było.

Nie było i być nie powinno. To rozpaczliwy pomysł wzięty z portalu internetowego, podchwycony przez ludzi takich jak inżynier Glen Jorgensen uczestniczący w pracach podkomisji Macierewicza. Formułując nieistniejący paradoks, pomylił przyspieszenie z siłą. Inżynier powinien umieć oszacować, jak głęboki krater powstanie przy znanych parametrach podmokłego gruntu i uderzenia. I tu nie potrafiono nic poprawnie obliczyć. Ja zrobiłem to dwiema różnymi metodami. Jedną to oszacowanie naprężeń w uderzanym gruncie. Na podstawie prędkości zderzenia, masy samolotu i pola powierzchni kontaktu oszacowałem, że w najbliższej nawet sprzyjających warunkach, kiedy cała energia uderzenia przechodzi w deformację gruntu, zagłębienie będzie płytsze niż 30 cm; realistycznie być może 10 cm. Druga metoda oparta była na fizyce powstawania kraterów, jaką w astrofizyce obserwuje się na ciałach takich jak Księżyc czy Ziemia, gdy uderzają w nią meteority. Według tej metody wgłębienie powinno mieć około 12 cm, czyli jak w pierwszej metodzie. Katastrofa lotnicza to chaos. Jedne kawałki wraku nie zostawiają widocznego zagłębienia, a inne potrafią wbić się na metr głębokości. Krateru jednak nie ma. Specjalistom Macierewicza polecam podręcznik fizyki.

To, że nadal nie mamy w Polsce wraku, ma znaczenie?

Oczywiście, nie można zbadać katastrofy bez wraku, ale wrak jest. Nie zniknął. Nie zagubił się jak malezyjski boeing w oceanie. Polska komisja i prokuratorzy zawsze mieli do niego dostęp. Była zgoda na wszystkie badania, jakie polska strona chciała wykonać.

Ale wraku nie odtworzono dokładnie z fragmentów.

Pieczółowite odtwarzanie samolotu to fotogeniczny mit, propagowany przez telewizyjne programy o katastrofach. Rekonstrukcję robi się w przypadkach, gdy przyczyna lub przebieg katastrofy są nieznane. W przypadku Lockerbie, gdzie Boeing 747 rozpadł się na dużej wysokości, trzeba było odkryć, jak przeprowadzono akt terrorystyczny. Zrekonstruowano tylko tę część kadłuba, w której były ślady wybuchu. Po zebraniu wystarczających dowodów wykluczających, tak jak w Smoleńsku, zarówno eksplozję, jak i terrorizm, nie robi się standardowo całokształtowej rekonstrukcji. Wypadek smoleński jest bardzo prosty do analizy, gdyż pozostawił nietypowo dużo dowodów, śladów w terenie i w bardzo licznych rejestratorach. Przyczyną był fatalny ludzki błąd, na którym zaważyło m.in. niewystarczające wyszkolenie załogi.

Ostatnio Antoni Macierewicz mówił, że 250 świadków widziało dym unoszący się z silników i odpadające jeszcze w powietrzu części tupolewa.

Nie wiem, skąd u niego taka fantazja. Z zeznań świadków, którzy byli przepytывani nawet przez „niepokornych” dziennikarzy, wynika, że nikt nie widział rozpadu samolotu w powietrzu, poza urwaniem końcówki skrzydła. Mówiono o ogniu wydobywającym się z silników. Tupolew kości gałęzie drzew, niektóre wpadały do silników, były mielone i spalane. Wtedy rzeczywiście obserwuje się dym, a nawet kilkumetrowy płomień. Nie ma w tym nic dziwnego.

Najnowszy wątek to nieprzebadana wada fabryczna w tym typie samolotów.



Kup książkę

[TEMAT TYGODNIA]

► Macierewicz nie ma szczęścia, sugerując, że silnik mógł mieć ukrytą wadę. Badania silników były robione szczególnie wnikliwie przez śledczych. W Polsce zdarzyły się dwie duże katastrofy Ilów 62 z podobnymi silnikami. W 1980 r. samolot Kościuszko spadł w Kabatach, a badania płk. Antoniego Milkiewicza wykazały, że przyczyną była ukryta wada materiałowa wału silnika. Rosjanie nie chcieli przyjąć tej wersji, ale płk Milkiewicz nie ustępował. Został usunięty ze swego stanowiska, ale Rosjanie uznali w końcu prawdę. To jeden z najlepszych na świecie specjalistów zajmujących się awariami tego typu silników. To on obecnie stoi na czele zespołu biegłych Prokuratury Wojskowej. Trudno znaleźć kogoś o większych kompetencjach, a jak widzimy, o silnikach wypowiada się historyk z wykształcenia Antoni Macierewicz. Zapisy detektorów są zupełnie jasne. Silniki pracowały do końca, nie spowodowały katastrofy.

Część biegłych rozpoznała głos gen. Andrzeja Błasika w kokpicie. Dla Macierewicza takie stwierdzenia to „zaprzastwo”. Jak to było?

Ktoś był w kokpicie przed lądowaniem, kiedy załogę nie powinien nikt przeszkadzać. Było parę początkowych wersji stenogramu rozmów i frazy przypisywano różnym ludziom. Nagrania ścieżki mikrofonowej rekordera dźwięku zrobione przed 2012 r. były niewyraźne. Prokuratorzy doszli do wniosku, że należy spróbować poprawić techniczną jakość nagrania poprzez dziesięciokrotnie większą częstość próbkowania i dużo bardziej zaawansowane, specjalne algorytmy obróbki cyfrowej. To się udało w 2014 r. Następny etap to spisywanie stenogramu. I tu wyniki odsłuchów różnych ekspertów mogą się między sobą nadal różnić. Nagrania w wielu miejscach są ciągle zaszumione i niewyraźne. Nie będzie jednej, pewnej i niezmiennej wersji. Stenogramy zależą od metodologii i od liczby odsłuchujących osób. Zrobiono je najlepiej, jak się dało. Uznano, że ze znaczącym prawdopodobieństwem to właśnie gen. Błasiak był w kokpicie. Pewność identyfikacji nie jest jednak i nigdy nie będzie stuprocentowa.

Podnoszony jest argument, że nie mamy oryginałów czarnych skrzynek.

A jak będziemy już mieli oryginały, to będziemy twierdzić, że są sfalszowane? Jeśli odrzucimy wszystko, czego dotyczyła rka Rosjan, jako podejrzane, to faktycznie nie zakończymy nigdy śledztwa i o to może niektórym chodzi. Odrzucać dowody zebrane w Rosji proponuje dr Kazimierz Nowaczyk, niezwiązany z lotnictwem ani aerodynamiką zastępca przewodniczącego podkomisji smoleńskiej. To śmieszne. Dowody należy weryfikować, nie odrzucać. I to było robione. Przy zbieraniu dowodów byli obecni także przedstawiciele polscy. Było pięć czarnych skrzynek wyprodukowanych w Polsce, Rosji i USA. Ich zawartości się ze sobą zgadzają. Producenci przeanalizowali dane z rejestratorów i zaświadczyli, że nie zostały nieodwracalnie uszkodzone ani sfalszowane. Ostatnio autentyczność taśmy z zapisem dźwięku i jej zgodność z zapisem rozmów pilotów z kontrolerami lotów została jeszcze raz potwierdzona, m.in. dzięki wykryciu w nagraniu nieznanych uprzednio zakłóceń od lamp pozycyjnych tupolewa. Ekipie Macierewicza zostają już tylko rozpracować próby podważania wszystkiego. Czekam, kiedy zaczną mówić, że Rosjanie podmienili wrak.

Jak rozumieć to, co działo się w ostatniej fazie lotu?

Na nagraniu słyszymy komendę „odchodzimy”, jednak samolot zamiast się wznosić, dalej zniża lot, a załoga spokojnie kontynuuje odliczanie odległości od ziemi, jakby to jej nie dziwiło.

To szokujące. Wszyscy piloci, z którymi rozmawiałem, mówili, że słuchając tego nagrania, byli zbulwersowani. W tle słychać alarmy o zbliżaniu się do ziemi najwyższego stopnia. Jeśli pilot nie zareaguje, samolot za kilka sekund uderzy w ziemię. Reakcja nie następuje. Złamawszy minimalną wysokość zniżania, dowódca nie podrywa samolotu, nie wydaje też rozkazu odejścia. Przez ponad siedem sekund waży się losy 96 ludzi, gdy tupolew stromo zniża się nad doliną. Nie reaguje także na przypomnienie drugiego pilota, owo „Odchodzimy...?”, na wysokości 75–80 m nad ziemią. Drugi pilot, widząc to, powinien był przejąć w tym momencie stery. Może się przecież zdarzyć, że pierwszy pilot zasłabnie. Po to wprowadzono system bezpieczeństwa regulujący zarządzanie zasobami załogi w kabinie. Piloci go nie zastosowali. Gdy wyszli z chmur i zobaczyli

ziemię, zrobili, co mogli, by poderwać samolot, ale było już za późno. Cały ten lot jest szokujący, a końcówka szczególnie. Dlatego przy analizie wypadku pracowali także psycholodzy. Laikowi ciężko sobie wyobrazić, jak złożonym zadaniem jest wylądowanie takim samolotem. Załoga była niewystarczająco wyszkolona, a mjr Arkadiusz Protasiuk, który był najbardziej doświadczony, przyjął na siebie zbyt wiele obowiązków. Był tak zajęty i zestresowany, że przestał wydawać komendy. Wydał mi się, że już tylko realizował zamiar, by zejść tak nisko, aż zobaczył

ziemię, i wtedy zdecydował, czy lądować, czy odejść. Ale to było niewykonalne. Samolot był skazany na katastrofę, jeszcze gdy był w chmurze, na kilkaset metrów i wiele sekund przed uderzeniem w brzoze.

Ma pan jakiegokolwiek wątpliwości, co się stało pod Smoleńskiem?

Miałem wątpliwości, kto decydował o lądowaniu. Znamy wcześniejsze rozmowy, że pierwszy pasażer jeszcze nie zdecydował, co robić, i do końca zostało to w zawieszeniu. Nigdy nie będziemy tego wiedzieć na pewno, ale dziś, gdy odczytano lepsze technicznie nagrania z kokpitu, skłaniam się ku przypuszczeniu, że była to decyzja pilota, bo nie słychać polecenia „lądujcie” ani „lećcie na inne lotnisko”. Działal pod wielką presją zadania wylądowania, które chciał dobrze wykonać. Nie będąc odpowiednio wyszkolony na symulatorze, nie wiedział, że cel ten był nieosiągalny.

Rok temu Macierewicz stwierdził wprost: to był zamach, winny jest Putin. Wówczas był opozycyjnym politykiem. Teraz jako minister mówi o „akcie terroru”.

Ale potem zaczął się z tego wycofywać. Uda się PiS z tego zamachu wykpić?

Zwolennicy partii wódzowskiej PiS przełkną każdą wolę wodzów bez refleksji, tak jak zrobili to w kwestii konieczności włączenia do badania katastrofy zachodnich komisji lotniczych. PiS żądał tego przez sześć lat i nagle się wycofał po zdobyciu władzy. Jeśli w ogóle PiS będzie cymkolwiek ograniczany w swych fantazjach smoleńskich, to przez struktury polityczne państw zachodnich. Reakcje rosyjskie nie stanowią ograniczenia dla PiS i *vice versa*. Ich interesy w przeciąganiu śledztw smoleńskich są zbieżne. Rosja już zaczęła oficjalnie reagować na eskcesy Macierewicza, robiąc z niego i z Polski pariasa. Jeżeli podkomisja Macierewicza chce kontynuować oszustwa, to powstanie międzynarodowej, zachodniej komisji po ich odejściu będzie po prostu koniecznością. Powinniśmy tego żądać, by wisiała nad głową Macierewicza jak miecz Damoklesa.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

Rodzice ruszyli w piątek po 500 zł. Ich tropem do punktów przyjmowania wniosków udali się z ulotkami politycy PiS. Przez trzy miesiące będą utrwalali w wyborcach wiedzę, komu zawdzięczają pieniądze.

Milion na dziecko



JOANNA SOLSKA

Osoby, które chciały załatwić sprawę elektronicznie, nie wychodząc z domu, zmierzły częściej i wcześniej niż ci, którzy woleli postać w kolejce. Mimo to rząd ogłosił sukces. Minister cyfryzacji Anna Streżyńska poinformowała, że do poniedziałku wnioski drogą elektroniczną złożyło 150 tys. osób. Za wszystkie kłopoty w sieci odpowiada rząd, za kolejki, w których rodzice ustawiali się osobiście, gminy.

Dodatkowe wsparcie trafi do 2,7 mln rodzin, obejmując 3,7 mln dzieci. Drugie i kolejne w rodzinie. Pierwsze tylko wtedy, jeśli dochody na członka nie przekraczają 800 zł miesięcznie (1,2 tys. zł w przypadku dzieci niepełnosprawnych). Liczbę dzieci pierwszych, kryterialnych (spełniających te wymogi) ministerstwo rodziny ocenia na 800 tys.; pierwszych gorszych jest grubo ponad milion.

Linia, którą PiS podzieliło polskie dzieci, wydaje się czytelna. Niekoniecznie jednak sprawiedliwa. Na przykład dla samotnej matki, która wychowuje dwoje dzieci, zarabia niewygórowane 2,5 tys. zł miesięcznie, ale starsze dziecko studiuje (a więc skończyło 18 lat) i już stało się niekryterialne. Automatycznie to młodsze, drugie, traktowane jest przez program 500+ jako pierwsze i też mu się nie należy. Rodzina, choć niepełna, nie spełnia kryterium dochodowego. Tysiąc złotych miesięcznie mogłby natomiast wziąć wicepremier Mateusz Morawiecki, były prezes ban-

ku, ale także ojciec trójki dzieci. Wicepremier posłucha jednak apelu premier Szydło i z zasiłku nie skorzysta, choć mu się należy. Natomiast wiceminister RPiPS Bartosz Marczuk skorzysta jak najbardziej. Tyle że dwoje z jego piątki dzieci kryteriów nie spełnia. Jedno z powodów dochodów rodziny, najstarsze z racji wieku. Należy mu się więc i tak 1,5 tys. zł miesięcznie.

Dzieci polskie dzielą się obecnie nie tylko na lepsze i gorsze. Spora może być grupa określanych jako „trudno powiedzieć”. Głównie w rodzinach tzw. patchworkowych. W warszawskim ratuszu wyluskują takie przykłady i o interpretacji zwracają się do ministerstwa. Rozwiedzionej matce z jednym dzieckiem się nie należy, to jasne. Ale jej były mąż zdążył związać się z inną kobietą i też ma z nią dziecko. Dla niego pierwsze dziecko z drugą żoną jest już drugie, czyli kryterialne. Może starać się o 500 zł czy nie?

Programy się zawieszają

Michał G., informatyk, usiadł przy komputerze w piątek (1 kwietnia) o szóstej rano. Złożył wniosek przez e-puap bez większych kłopotów. Mógł to zrobić bez wychodzenia z domu, bo wcześniej już był w urzędzie osobiście, żeby się uwiarygodnić. Takie są procedury z powodów bezpieczeństwa. Rano, gdy zaczęły pracować urzędy, system się zawiesił. Podobnie jak elektroniczny kanał w ZUS.

Internauci na forach informowali się, że zawodził nawet systemy bankowe. Żeby uniknąć kolejek, ministerstwo zachęcało do skorzystania z tej możliwości osoby mające konto i obeznane z bankowością elektroniczną. Choć niekoniecznie pierwsze dnia – prosili urzędnicy, czując pismo nosem. ▶

Kup książkę

▶ Pierwsze doniesienie na ataki hakerów trafiło do prokuratury, zanim jeszcze program 500+ wystartował. Oszuści uruchomili w internecie serwis pod adresem ludzaco podobnym do serwisu Ministerstwa Rodziny, proponując pomoc za drobną opłatę przy wypełnieniu wniosku o zasiłek. Nie chodziło jednak o wydłużenie opłaty, ale danych umożliwiających dobranie się do bankowego konta klienta. Chętnych do przechwycenia nie tylko 500 zł, ale wszystkich znajdujących się na koncie pieniędzy, z pewnością będzie więcej. Takiej okazji łowienia naiwnych i nieostrożnych hakerzy jeszcze nie mieli. Pojawiają się maile z prośbą o weryfikację numeru konta, które stanowczo należy ignorować. Nie można nawet podawać numeru telefonu, może służyć do przesyłania kosztownych esemesów.

W Zambrowie na Podlasiu tłumek pod mopsem (miejski ośrodek pomocy społecznej), gdzie przyjmują wnioski o zasiłek, zgromadził się pierwszego dnia na długo, zanim urząd otwarto. Większość rodziców woli wniosek złożyć osobiście.

W przypadku programu 500+ niechęć do kontaktowania się z urzędem sposobami bardziej nowoczesnymi okazuje się jak najbardziej zrozumiała. – *We wnioskach wysłanych drogą elektroniczną znajdujemy sporo błędów* – stwierdza Kazimierz Dąbrowski, burmistrz Zambrowa. – *Trzeba będzie prosić zainteresowanych o osobisty kontakt z urzędem, wypłata pieniędzy może się opóźnić*. Sporo osób z Podlasia pracuje za granicą.

Urzędnicy wobec nowoczesności też są nieufni. W gminach powiatu Biała Podlaska wnioski przyjmuje się na papierze – informuje starosta Sławomir Snarski. Dopiero potem zostaną wklepane do komputera i pracownicy zaczynają weryfikować za pomocą informatycznego systemu emp@tia. Pierwszego dnia się bał. Z emp@tia ośrodki pomocy społecznej są już obeznane. Służy do weryfikacji wniosków o zasiłki i bywa, że się zawiesza. Węć teraz, gdy interesantów jest ponad dwa razy więcej, niż przewidywali twórcy systemu, wolą nie ryzykować. Próbujać sobie radzić bez emp@tia, choć Bartosz Marczuk przekonywał, że system jest w stanie przyjąć 3–4 wnioski na sekundę.

W warszawskim ratuszu pogodzili nieufność do emp@tia z nowoczesnością za pomocą „kreatora”. Zainteresowanym podpowiada, jak wypełnić formularz, urzędnikom oszczędza czas na wklepywanie danych. – *Papierowe wnioski opatrujemy kodem kreskowym* – tłumaczy wiceprezydent Włodzimierz Paszyński. – *Dzięki temu urzędnicy nie będą musieli ich wklepywać, wystarczy przejechać czytnikiem i wniosek jest w komputerze*.

Systemy nie współpracują

W pierwszych dniach gminy (to one wypłacają pieniądze i odpowiadają za realizację programu 500+) były się tylko jednogłośnie. Że jak media pokażą gdzieś kolejkę, to politycy PiS, którzy busami rozjechali się po kraju, natychmiast korzystają z okazji, by wskazać na nieudolność samorządowców. Oburzają się, że rząd spełnił obietnice wyborcze, dał pieniądze, a gminy nawet nie potrafią ich szybko przekazać polskim rodzinom. Dlatego, zwłaszcza duże miasta, w których prezydenci związani są z PO, zrobili wszystko, żeby kolejkę nie było. Kłopoty mogą się zacząć, kiedy wnioski trzeba będzie weryfikować. Emp@tia, jeśli nawet się nie zawiesi, temu nie podoła. To nie samorządy odpowiedzialne są za informatyzację urzędów centralnych, ale to one będą winne. Uwzględniając oczywiście winę Tuska, o której już przebiegała rządy. System kupiła poprzednia ekipa, a tymczasem w tym roku program pochłonie równie 17 mld zł, to znaczy, że jedno dodatkowe dziecko będzie kosztowało podatników 1 mln zł. W następnych latach jeszcze drożej, zapewne ok. 1,5 mln zł. Naprawdę, piękny program.

Joanna Karczewska, informatyczka, specjalistka od bezpieczeństwa informacji, już na kilka tygodni przed startem 500+ alarmowała o sposobach, jakich mogą użyć hakerzy, aby przechwycić pieniądze. Teraz testuje emp@tia i jest pełna obaw. – *Systemy informatyczne ze sobą nie współpracują* – kwituje. – *Z weryfikacją wniosków drogą elektroniczną będą kłopoty*.

Najpierw trzeba sprawdzić, czy dziecko w ogóle się urodziło. Wystarczyłoby, gdyby emp@tia współpracowała z informatycznym systemem Źródło, czyli rejestrem PESEL. Łączność może jednak

szwankować, więc gminy na wszelki wypadek proszą o akty urodzenia. Ludzie się złością. Niektóre wnioski przesłane elektronicznie za pośrednictwem banków mogą zostać przez emp@tia zwrócone – ostrzega Karczewska, która wykryła w systemie kolejny błąd. Chodzi o osoby mające nietypowe (w rozumieniu emp@tia) adresy. Czyli np. plac albo aleję, emp@tia akceptuje tylko ulice, nietypowe odrzuca. Systemy bankowe nie mają z tym problemu.

Gminy na weryfikację wniosków mają trzy miesiące. Do programu trzeba było zatrudnić dodatkowych ludzi; nie ma mowy, by obiecane przez rząd 2 proc. wystarczyło na ich opłacenie. Gorzej, że może nie starczyć pieniędzy dla samych beneficjentów. Liczbę dzieci kryterialnych w Warszawie resort oszacował na około 80 tys. i na tyle ratusz dostanie pieniądze – 380 mln zł. – *My oceniamy, że może się zgłosić nawet 150 tys.* – obawia się wiceprezydent Paszyński. Jeśli nie dostaniemy dla nich pieniędzy, wstrzymamy wypłaty. Burmistrzowi Zambrowa rządowych pieniędzy wystarczy dokładnie dla 1970 dzieci, wniosków spodziewa się co najmniej 2 tys. Łatwo wyobrazić sobie, na kogo posypią się przekleństwa tych, którzy nie dostaną pieniędzy.

A tymczasem pojawiają się kolejne związane z programem 500+ wydatki, do sfinansowania których rząd się nie poczuwa. – *Dostaliśmy właśnie pismo od wojewody, że za weryfikację wniosków osób pracujących za granicą również nie mamy co liczyć na pieniądze* – dziwi się samorządowiec z urzędu marszałkowskiego w Krakowie. Jak sprawdzimy zarobki kogoś, kto mieszka w Londynie i twierdzi, że jego dziecko należy się 500 zł, bo spełnia kryteria dochodowe?

Gdzie są pieniądze?

Rząd sprawia wrażenie, że daje radę. Gdy coś zacznie szwankować, zapewne obwinia samorządy o nieudolność. Urzędy marszałkowskie, starostwa i gminy są opanowane przez opozycję. PiS nie ukrywa, że zamierza tę sytuację zmienić. Żeby się udało, najpierw trzeba wyborców do władz lokalnych zniechęcić. Program 500+ doskonale się do tego nadaje. Zwłaszcza gdy samorządom zleci się o wiele więcej zadań, niż da na nie pieniędzy.

PiS zapomniało, jak obwiniało Tuska, że zadłuży Polskę bardziej niż Gierka, bo państwo wydaje ponad miarę. Teraz najwyraźniej miara się zmieniła, bo niepokryte dochodami wydatki rosną w tempie wcześniej niespotykanym. Program 500+ tylko w tym roku będzie kosztować ponad 17 mld zł, w 2017 r. wydatek zwiększy się do 23 mld zł. Wbrew temu, co zapowiadała Beata Szydło w kampanii wyborczej – nie wystarczy dobrze rządzić, żeby pieniądze się znalazły. Na razie nowy rząd dochodów państwa w znaczący sposób nie powiększył. Minister finansów, choć zapowiada, że pieniądze będą, na razie nawet nie przygotował projektu ustawy z nowym podatkiem dla sieci handlowych. Można powiedzieć, że w tym roku 500+ sfinansuje poprzednia ekipa rządząca. Zostawiła bowiem następcom potężne zaskórniaki. Ponad 9 mld zł z aukcji na częstotliwości LTE oraz 8 mld w postaci zysku NBP. Problem w tym, że są to zaskórniaki jednorazowe, w przyszłym roku już ich nie będzie. Zapewnienia rządowi, że pieniądze muszą się znaleźć, na razie nie mają pokrycia w faktach.

Stąd spekulacje ekonomistów, że PiS znów ucieknie się do działań niestandardowych. Niszczących finanse państwa, ale niebudzących emocji wyborców. Np. sięgnie po 20 mld zł z Funduszu Rezerwy Demograficznej przeznaczonych na dopłaty do przyszłych emerytur. Albo do rezerwy NBP, gdy skończy się kadencja prezesa Marka Belki i zastąpi go nominat partii rządzącej. Bo z nowych podatków na wszystkie obietnice nie wystarczy. PiS na konto dzieci lepszych, ale także gorszych, zaciąga dziś potężne długi.

Rząd oblicza, że dzięki programowi 500+ w Polsce urodzi się dodatkowo 175 tys. dzieci w ciągu 10 lat, znaczy średnio 17 tys. rocznie. Jeśli w tym roku program pochłonie równie 17 mld zł, to znaczy, że jedno dodatkowe dziecko będzie kosztowało podatników 1 mln zł. W następnych latach jeszcze drożej, zapewne ok. 1,5 mln zł. Naprawdę, piękny program.

JOANNA SOLSKA

Szwajcarski zegarek w drodze do Zurychu

Nowy Terminal - nowe marki

Odkryj nasze nowe sklepy

**LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA**
Kup książkę

[POLITYKA]



Uległość

EWA WILK

Jest decyzyjny. Może pracować 24 godziny na dobę. Współpracownicy znajdują w nim oparcie, bo on czuje państwo. My reformujemy państwo, a on przewiduje na trzy kroki do przodu skutki tych reform. Dzięki temu mamy absolutny komfort i oddajemy w stu procentach honor szefowi. Pozostaje on osobą absolutnie kluczową. Na inne kluczowe stanowiska wyznacza wyłącznie takie osoby, które są w stanie złapać cugle, szarpnąć i ruszyć kraj do przodu. Potrzebny był strateg – mamy stratega. Uprawia politykę głęboką, wizjonerską i na najwyższym poziomie intelektualnym.

Dlaczego tak wiele osób tak bardzo wierzy w talenty, umiejętności, wiedzę, siłę moralną i osobiste przymioty, słowem – w nadzwyczajność Jarosława Kaczyńskiego?

Powyższa lawina pochlebstw pod adresem prezesa pochodzi z wywiadu Beaty Kempy dla żarliwie sympatyzującego z PiS portalu wPolityce.pl. Koniunkturalizm, serwilistyczny popis, lizusowska maestria? W jakiejś mierze tak. Ale wydaje się, że w wielu tego typu wyznaniach pobrzmiwają autentyczne emocje, niewymuszony posłuch, głębokie przekonanie, że „cokolwiek szef zadecyduje, zadecyduje dobrze”. Zachowania partyjnej elity, posłów, premier i prezydenta, nawet automatyczne i bezwiedne – choćby to obsesyjne powtarzanie sformułowań prezesa, posłuszne podążanie w szyku po sejmowych korytarzach – wskazują, że jest w tym jakaś gorąca wiara w jego nadzwyczajność.

Charyzma bez charyzmy

Dla sceptyków, krytyków, przeciwników politycznych ta fascynacja Prezesem wydaje się bezrozumna ślepotą, albowiem oni sportretowali Jarosława Kaczyńskiego przeciwnymi kolorami: jako osobę o monstrualnej potrzebie dominacji, chorobliwie głodną bezustannego podziwu i uznania, postrzegającą co prawda siebie jako człowieka nieskazitelnego, ale nawiąkowo projektującą swoje wady i postępy na innych ludzi. Chce, by otoczenie bezbłędnie odczytywało jego oczekiwania i zachcianki. Jeśli tak się nie dzieje, to bez wahania gotów jest zagrać pocuciem winy, szantażem emocjonalnym, obmową, czczą obietnicą. Ma instrumentalny stosunek do ludzi: z pozoru przyjaźni się, szanuje sojuszników, ale jednego dnia szaleje w pochlebstwach dla danej osoby, by następnego okrutnie ją porzucić. Słowem, podejrzewają w nim raczej osobowość niedojrzałą, narcystyczną i makiażeliczną, a zważywszy jego samotniczy styl życia – co najmniej lekko socjopatyczną.

Czy przy tak sprzecznym odbiorze można powiedzieć, że Jarosław Kaczyński ma charyzmę? Tak. Potocznie charyzmę rozumiemy raczej jako cechę czy też zestaw nadzwyczajnych cech, który w tajemniczy sposób sprawia, że inni wielbią przywódcę (politycznego, religijnego, biznesowego itd.), z entuzjazmem poddają się jego woli, dają mu się porwać.

Ale socjologia pojmuje charyzmę zgoła inaczej: jako relację. Nie jest więc ona tym, co człowiek rzeczywiście w sobie ma, ale tym, co zostanie w nim dostrzeżone i określone przez zwolenników jako właśnie niemal ponadludzkie. Charyzma nie jest zatem bytem obiektywnym, jest projekcją. Przypisaniem pewnych cech człowiekowi, gdy pojawi się na takiego człowieka społeczne zapotrzebowanie.

Prof. Piotr Sztompka w swej „Socjologii” tak o charyzmie pisze: „Jeśli ludzie traktują kogoś jako wielkość, to on tym samym jest wielki. Postrzegając w ten sposób postać przywódcy, gotowi są go obdarzyć pełnym posłuszeństwem, zaufaniem, lojalnością. Od strony zwolenników postaci charyzmatycznej pojawiają się szczególne emocje, entuzjazm, kult. Ludzie współludzczą w charyzmie, odnajdując satysfakcję w poddaniu się, uległości, bezrefleksyjnym poparciu”.

Skożo zatem tak rozumiana charyzma nie jest żadnym darem, ale – rzecz można – konstrukcją społeczną, to znaczy, że istnieje jakaś technologia, inżynieria jej wznoszenia i podtrzymywania. Wydaje się, że Jarosław Kaczyński jest w tym sensie utalentowanym i skrupulatnym inżynierem. Jakby wypełniał punkt po punkcie wycyztaną w literaturze psychologicznej, socjologicznej, politologicznej instrukcję budowania charyzmy.

Anthony Pratkanis i Elliot Aronson w swym bestsellerowym „Wiek propagandy” jeden z rozdziałów – tylko pozornie z przymrużeniem oka – formułują właśnie w formie instrukcji: „Jak zostać przywódcą sekty”. Twierdzą, że sekty religijne czy parareligijne owe techniki uzależnienia człowieka od grupy i jej guru stosują, w sposób szczególnie i pełny”. Lecząc analogie do wszelkich zbiorowości, jakie ludzie zawiązują – politycznych, wyznaniowych, zawodowych, nawet towarzyskich – są tu w pełni uprawnione. Zresztą termin „sekta” badacze pojmują szerzej niż w potocznym rozumieniu: jako „wzorzec relacji społecznych w obrębie grupy. Takich relacji, których istotą jest zależność i uległość”.

Punkt pierwszy owej instrukcji brzmi: wykreuj własną rzeczywistość społeczną. Chodzi o taki obraz świata, który posłuży potem do interpretowania wszystkiego, co się dzieje wewnątrz grupy, a zwłaszcza na zewnątrz. Ten zewnętrzny świat musi być bez najmniejszej wątpliwości zły. Tylko wewnątrz grupy jest bezpiecznie; tylko tu doznasz wybawienia. Taki jednoznaczny podział na grupę wewnętrzną (wyznawców) i zewnętrzną (wrogów, obiekt stałej nienawiści) w naukach społecznych zwykło się nazywać kreowaniem granfalonu.

Rzadko dziś zdarza się dzień, by Jarosław Kaczyński nie definiował po raz kolejny wroga, nie dorzucał nowych określeń.

To, co może wydawać się obsesją, osobowościowym defektem: wskazywanie nomenklatury, układu, zdrajców, agentów, odszczepieńców, jest fundamentem, na którym wznosił swoją charyzmę, i jest absolutnie niezbędne, by tę budowlę podtrzymać. Niczym inżynier nadzoru budowlanego musi stale kontrolować spójność swojej grupy. Jego „nieplanowane” przemówienia czy wywiady, w których pojawiają się coraz to nowe metafory (*gorszy sort, element animalny*), nie świadczą bynajmniej o nagłych atakach furii czy przypływach weny retorycznej. Udziela w ten sposób systematycznych wskazówek ułatwiających interpretację świata. Niezwykle poręcznym narzędziem jest tu wytworzenie własnego języka, nadanie pewnym zwrotom takiego znaczenia, by członkowie sekty bez zbędnych wyjaśnień rozumieli, w czym rzecz (np. powiedz scjentologowi *engram*, będzie wiedział, że chodzi o grzeszną duszę; na tej zasadzie w języku PiS funkcjonuje np. zwrot *resortowe dzieci*). „Spójrz na świat oczyma członka sekty – piszą Pratkanis i Aronson. – W ten tajemniczy sposób rzeczywistość zaczyna się jawić jako sensowna całość – być może po raz pierwszy w twoim życiu”.

Bombardowanie miłością

Pytanie, jak skłonić ludzi, by przystali na ten nieprawdziwy, dychotomiczny obraz świata? Ano trzeba zacząć od początku: nowych, nawróconych wyznawców zbombardować wręcz miłością. I stopniowo doprowadzić ich do zerwania „z tamtym światem”. Najlepiej, by po drodze odbyło się coś w rodzaju chrztu, inicjacji (np. powierzyć członka sekty – piszą Pratkanis i Aronson. – W ten tajemniczy sposób rzeczywistość zaczyna się jawić jako sensowna całość – być może po raz pierwszy w twoim życiu”).

Zasada społecznego dowodu słuszności – skoro wszyscy się tak zachowują, to znaczy, że tak trzeba – jest uniwersalna. Ujednolicenie poglądów i zachowań dokonuje się w zamkniętej grupie automatycznie i bezwiednie (o efekcie kameleona piszemy na s. 77). Potrzeba przynależności, akceptacji, zaufania jest u człowieka – zwierzęcia społecznego – pierwotna, biologiczna, nie ma więc nic dziwnego we wręcz fizycznej mimikrze członków ugrupowania politycznego. W – używając kolokwializmu – małpowaniu gestów rąk, mimiki twarzy, półuśmieszeków, słownictwa, tembru głosu, fryzuru, kroju garsonki, makijażu, biżuterii (nie trzeba było długo czekać, by broszka à la Beata Szydło pojawiła się na szafirowej sukni posłanki Jolanty Szczępińskiej). To podobieństwo spaja grupę, zanurza w nią człowieka.

Im głębiej ktoś jest zanurzony w swoją zbiorowość, tym bardziej czyha na niego tzw. pułapka racjonalizacyjna. Jest gotów coraz więcej dla swej grupy zrobić i coraz szybciej z tego przed sobą się usprawiedliwi. Narusza prawo, konstytucję, podnosi rękę za kolejnymi ustawami, nawet nie przeczytawszy ich projektu, ale poświęca się szlachetnemu celowi. Więc pozostaje w dobrym zdaniu o sobie, bo przecież tylko przestrzega zobowiązań. Zresztą sprawny guru stopniuje zadania krok po kroku tak, by żadne następne nie było zbyt radykalnym przeskokiem do kolejnego. Mnogość cele i polecenia, piętzy je, obdziela funkcjami nie do pogodzenia, zarządza nocne obrady i narady, wyzywa na spotkania i je odwołuje. Wyteżona praca i nieustanna celebrazja (rocznice, marsze itd.), stan ustawicznego alertu i regularnych obchodów powoduje coraz większą izolację człowieka od „tamtego świata”; również najbliższego – rodziny, przyjaciół, dawnych kręgów zawodowych. Praktycznie uniemożliwia namysł nad sensem przynależności.

Do tego należy jeszcze dolożyć obowiązkową „działalność ewangelizacyjną”: wyjazdy, spotkania z wyborcami, konferencje prasowe, gdzie powinni snuć wizję lepszej przyszłości. „Przekonując innych, przekonują sami siebie” – piszą z przekonaniem Pratkanis i Aronson.

Wreszcie pojawia się dowód sukcesu: lud nie słabnie w poparciu, dochodzi do tzw. wtórnego naboru do grupy. Nie brakuje chętnych na intratne stanowiska za cenę przystąpienia do grupy. To nic, że wielu motywuje oportunizmem, koniunkturalizmem, tzw. depriacją względną – subiektywne poczucie krzywdy, prze-

► konanie, że zasługują na coś lepszego, co mają inni podobni do mnie. Każdy awans jest możliwy, przeskokowanie kilku szczebli naraz, bo Wielki Szeef może wszystko.

Hołdy i krzywdy

Utrzymanie morale grupy (lojalności, dyscypliny itd.) wymaga oczywiście stałego podbudowywania mitu i kultu wodza. On sam nie powinien zaniechać bezustannej pracy nad swoją wiarygodnością. Jest mu jednak o tyle łatwiej, że w ów mit sam z coraz większym przekonaniem wierzy. Dochodzi niejako do samopotwierdzenia charyzmy. Monika Milewska, antropolog historii, badaczka tyranii (jej książka „Bogowie u władzy” opisuje mechanikę kultu jednostki od mitycznego Herkulesa po Putina), twierdzi, że właściwie każdy z despotów w trakcie sprawowania władzy dochodził w końcu do przekonania o swej nadzwyczajności, o powierzchni mu przez jakąś siłę wyższą (bogów, dzieje, naród) misji, a sygnałów tego często zaczynał się dopatrywać we własnym dzieciństwie. Liczne eksperymenty psychologiczne dowodzą, że jakkolwiek władza, nawet najbardziej prozaiczna, powiedzmy brygadysty nad robotnikami, sprawia, że samocena szefa wzrasta aż do utraty kontaktu z rzeczywistością; ma się on np. za wyższego i atrakcyjniejszego, niż to jest naprawdę.

Wódz charyzmatyczny, choć może zastosować przemoc i przymus, zwykle утверждает się w skuteczności manipulacyjnych metod sprawowania swojej władzy. Mają one przewagę nad wytrwałym przekonywaniem jeszcze nieprzekonanych czy też nad represjami, albowiem sprawiają, że również „owce glosują na wilka”.

Jak pisze prof. Mirosław Karwat w zbiorowej pracy „Przezielenie manipulacji społecznej”, celem manipulatora i demagoga jest pociągnąć za sobą tych, „których interesy, przekonania, zasady i dążenia są sprzeczne z tym, do czego zmierza sterujący”. Każdemu przywódcy potrzebna jest akredytacja, czyli uprawnienie swej pozycji i kredyt zaufania. „Szczytowym sukcesem manipulatorów arcysprawnych w złośliwym, tendencyjnym atakowaniu swych oponentów jest zdobywanie akredytacji wyłącznie dzięki dyskredytacji innych. Osoby takie uzyskują bezterminowy abonament i monopol „wiarygodności” oraz racji przyznanej w dowolnej sprawie przez taką czy inną część społeczeństwa”. Najskuteczniejsza jest dyskredytacja totalna: blamaż jednostki ma pogryźć całą grupę (pogrążył prezesa Trybunału Konstytucyjnego – wiadomo, wszyscy ci sędziowie tacy są). Blamaż grupy – każda przynależąca do niej osoba (*KOD równa się świnie odstawione od koryta i piąta kolumna Putina*).

Manipulator i demagog, zauważa prof. Karwat (swoją fundamentalną pracę „Sztuka manipulacji politycznej” opublikował w 1999 r. – a więc przed powstaniem PiS), zawsze działa w dwie strony. Przypochlebia się tym, których przywołanie ma go wynieść na szczyty, czemu służy cały repertuar kokieterii, minoderii, rozmaite sztuczki uwodzieńskie. Stąd pewnie schlebienie *prawdziwym Polakom*, mgliste obietnice, również negatywne (*dopadniemy, rozliczymy*), kuszenie rozmaitymi utopiami, a przede wszystkim żerowanie na pocuciu wszelkich krzywd – prawdziwych i urojonych. Ale w rzeczywistości, pointuje prof. Karwat, manipulator jest krętarcem. „Kręci zarówno wtedy, gdy zgryzając bohatera, podburza innych, dolewa oliwy do ognia, prowadzi za sobą drogą donikąd i bez odwrotu, jak i wtedy, gdy nagle łagodni wie zapędy, tłumaczy, że nie to miał na myśli, umie się dogadać, wytargować coś ze swoich rzekomo niewzruszonych zasad albo przynajmniej znika »po angielsku”.

Szczytowa pozycja charyzmatycznego przywództwa jest kult. Monika Milewska, pytana, kiedy powinny zapalać się lampki

ostrzegawcze, że oto u władzy pojawił się uzurpator, ktoś przypisujący sobie „boskie” namaszczenie, mówiła w wywiadzie dla POLITYKI: „Nie zawsze sygnali są wyraźne. Generalnie jednak w sferze publicznej na początek pojawiają się portrety. W prasie, w księgarniach, w miejscach publicznych”. Posagi, pomniki, tablice upamiętniające... Prezes tego, oczywiście, nie wymaga. Ale konterfekty jego nieżyjącego brata bliźniaka zaczynają przestrzeżi wspólną kolonizować, a prezes nie ukrywa, jak bardzo mu na tym zależy. Kult zastępczy?

Bądź spokojny i porozmawiaj

Wydawać by się mogło, że polskie społeczeństwo, tak doświadczone zniewoleniami, demagogiami, autorytaryzmami, jest odporne na całą tę charyzmatyczną inżynierię. Jednak, jak mówił niedawno w naszym Poradniku Psychologicznym „Ja My Oni” Jacek Santorski, nasze życie społeczne przesączone jest jakąś złąmową folwarczną, istic feudalną. „Polscy przedsiębiorcy prowadzą swoje firmy w ramach struktury i kultury XVI-wiecznego folwarku. Partie

też (nie tylko te skrajne) są zarządzane jak folwarki – po wodzowsku. Jak w »Ferdynandzie«: Józio wciął się w rolę pana i wali po gebie koleżę – parobka, a ten się cieszy, że bije mocno po jasniepańsku. (...) Większość polskich organizacji opiera się na nieświadomej złąmowie, że będziemy mieć święte krowy, na które narzekamy, ale ich obecność zdejmuje z nas odpowiedzialność”. Podobnie pisze o tym zjawisku prof. Andrzej Leder w swej „Prześnionej rewolucji” – jako o naszym narodowym fantazmacie.

Czy jest zatem jakieś wyjście, by charyzmę prezesa jego zwolennicy i współpracownicy widzieli we właściwych wymiarach; by przywrócić „wiernym” trzeźwą, mniej emocjonalną ocenę sytuacji i człowieka; sprawić, by znajdowali mniej satysfakcji w uległości? Zdarza się, i to całkiem często, tzw. rutynizacja charyzmy, gdy np. lider masowego ruchu

politycznego wygrywa wybory i otrzymuje władzę obwarowaną demokratycznym prawem. By raz jeszcze zacytować prof. Sztompkę, charyzma wtedy zanika, „wsłutek włączenia przywódcy w rutynowe, codzienne działania administracyjne i organizatorskie, w których popełnia błędy, ujawnia słabości i okazuje się zastępowalnym przez innych”. Jednak osobiście pozycja stratega i wizjonera, a nie państwowego urzędnika, jaką wyznaczył sobie prezes Kaczyński, nie wskazuje, by miało się to stać w jego przypadku.

Alternatywą jest jakkolwiek rozumiana katastrofa granfalonu. Albo przynajmniej stopniowa erozja. Taki bywa zresztą los większości sekt. Dziś policja, a także liczne organizacje społeczne, często katolickie, publikują wskazówki dla rodziców chcących uwolnić swoje dziecko ze szponów podejranych organizacji. Pierwszy punkt zwykle brzmi: nie trać kontaktu, odpowiadaj na każdy list, na najdrobniejszy sygnał gotowości do rozmowy, na znak, że dokonuje się jakieś przewartościowanie. Próbuje wywrwać je choć na krótko z izolacji, pokazać, że istnieje bezpieczny, zewnętrzny świat, w którym wciąż ma ono swoje miejsce, zabierze do domu, na spacer, do kina. Do zastosowania? W końcu poza partią ludzie wciąż mają rodziny, przyjaciół, znajomych.

Jedno z takich stowarzyszeń, Effatha, precyzuje instrukcję rozmowy: Zapewnij, że starasz się je zrozumieć. Bądź wyrozumiały, spokojny i łagodny. Pozwól swobodnie opowiadać o ruchu, do którego wstąpiło. Nie wybierajmy i nie przedstawiaj tego jako wielkiej tragedii. Lecz nie dopuść, by wystąpiło w roli misjonarza. Spokojnie wyjaśnij, że nie zgadzasz się z tym, co głosi jego ruch. Niech nie brzmi to jednak jako oskarżenie lub szantaż. Nie obrażaj. I – ważne! – nie mów: trzeba zupełnie nie mieć rozumu, żeby w coś takiego uwierzyć.

EWA WILK